

BLOK

Odkąd sięgam pamięcią, blok był szary i smutny. Brudna, sypiąca się elewacja robiła przygnębiające wrażenie. W ogóle wszystkie bloki w podwórku były w tym samym szarym odcieniu. Co tam w podwórku! Na całym niemal osiedlu panowała szarzyzna. Być może, gdy były nowe, ich elewacje jaśniały bielą, ale po dwudziestu pięciu latach użytkowania, straciły swą świeżość. I po tylu właśnie latach doczekały się kuracji odświeżającej. Drewniane rusztowania przesuwaly się powoli do przodu zostawiając za sobą bieleńskie ściany z żółtymi elementami wykończenia. Od razu zrobiło się jaśniej i przyjemniej!

Blok stanowił jakby krótszą podstawę niedomkniętego czworoboku. Jedno z ramion biegło równolegle do ulicy, drugie wzdłuż plant, niewielkiego parku wewnątrz osiedla. Pod tymi dłuższymi bokami znajdowały się tzw. Bramy, czyli przejścia ułatwiające przedostanie się do wnętrza podwórka. W środku tej figury usytuowane były jeszcze trzy niewielkie bloki. Miały zaledwie dwa piętra i po dwie klatki każdy. Żyły, dosłownie i w przenośni w cieniu swych trzypiętrowych braci. Niewielka odległość pomiędzy budynkami sprawiała, że nie docierało tam za wiele słońca.

Klatki schodowe nie były symetryczne. Ta, w której mieszkałem, miała dwa wyjścia: od frontu i od podwórza. Jeśli wybrało się pierwsze wyjście, można było od razu znaleźć się pod tzw. arkadami, krótkim pasażem usytuowanym tylko pod pierwszą klatką. Tam były dwa sklepy: tzw. mleczarnia i mrożonki. Mleczarnia była niczym innym jak sklepem spożywczym, gdzie kupowało się chleb, mleko, masło, jajka, cukier. Takie wyjście było bardzo dobrym rozwiązaniem, bo do sklepu można było iść nawet w kapciach. Niestety, dużo ludzi, idąc w głąb podwórka, skracało sobie tędy drogę. A że trzaskali przy tym drzwiami albo ich w ogóle nie zamykali, przez co w zimie wiało chłodem po całej klatce, przejście po jakimś czasie zabito na głucho deskami. Poza tym nieraz w klatce lubili się załatwiać różni pijaczkowie, klienci sąsiednich delikatesów, i to było chyba głównym powodem zlikwidowania tego wejścia.

Po większe zakupy trzeba było iść właśnie do delikatesów, sklepu który zajmował pozostałą parterową przestrzeń bloku. Tam było o wiele więcej towarów, między innymi mięso, wędliny, stoisko cukiernicze, z alkoholami, napojami. Część towarów była oczywiście deficytowa i nie zawsze znajdowały się w sprzedaży. Wcześniej był tam też sklep z zabawkami, ale przenieśli go do bloku naprzeciwko, a jego kosztem rozbudowano delikatesy. Niestety, z uwagi na szczupłość powierzchni, sklep posiadał tradycyjną obsługę.

Sklep z mrożonkami był przez pewien okres samoobsługowy, ale dokładnie nie pamiętam kiedy. Ale z pewnością posiadał nieduże okienko w szybie wystawowej, gdzie w porze letniej były sprzedawane lody. Rzecz jasna albo w kubku, albo w papierku, albo na patyku. Dzięki temu rozwiązaniu nie trzeba było wchodzić do sklepu.

Pod arkadami kwitł również handel owocami rolnymi. To tam baby ze wsi oferowały jajka, marchewkę, ziemniaki, kwiatki. Rzecz jasna w tym miejscu był zakaz handlu, a ponieważ nie było jeszcze wówczas straży miejskiej, to milicja goniła co jakiś czas całe towarzystwo, ale po ich odjeździe wszystko wracało do normy.

Ze względu na to, że na parterze bloku funkcjonowały trzy sklepy, konieczna była dostawa towaru do tychże sklepów. Odbywała się zawsze od podwórza, przez co już od świtu („mleczarnię” otwierali bodaj-

że o 5.30) słychać było jeżdżące stary, jelicze i żuki. Żeby było ciekawiej, każde stoisko w delikatesach miało osobne wejście do magazynu, ale do mięsnego usytuowane było wewnątrz klatki. Podobnie było z „mleczarnią” i mrożonkami. Na dodatek tuż przy wyjściu z mojej klatki, stały dwie budy, początkowo sklecone ze zwykłej siatki ogrodzeniowej, a później obite blachą, gdzie „mleczarnia” trzymała jakieś pojemniki i cholera wie, co jeszcze, bo nieraz w lecie smród bił stamtąd niemiłosierny, o roju muszek nie wspomnę. Poza tym przez pewien czas stała tam również metalowa klatka, w której roznosiciel mleka trzymał takie dwukołowe, ręczne wózki. Bo były to czasy, kiedy można było zamówić sobie dostawę mleka do domu, pod drzwi. I dzień w dzień, przed piątą rozlegał się brzdęk butelek. Co ciekawe, w chwilach przejściowych trudności w zaopatrzeniu w nabiał, mleko dla abonentów musiało być zapewnione, a dla pozostałych, zwykłych odbiorców niekoniecznie. Ale jak ktoś zrezygnował z dostawy do domu, to potem trudno było się wkręcić z powrotem, bo liczba miejsc była ograniczona. Tak w ogóle to nie wiem, skąd wzięła się zwyczajowa nazwa „mleczarnia”? Może stąd, że kupowało się tam głównie nabiał i pieczywo, czasem cukier, mąkę lub słodycze. Wędlin i mięsa nigdy tam nie było.

Roznoszeniem mleka zajmowała się rodzina Maternów, z sąsiedniego bloku. Zaczynali pracę jak tylko dostarczyli im mleko. Mieli trochę roboty, tym bardziej, że trzeba było dźwigać po piętrach najpierw pełne, a potem puste butelki, a tu trzy piętra bez windy, a w punktowcach na Chrobrego nawet pięć pięter. Nie wiem, jak rozległy mieli rejon działania, ale podejrzewam, że spory, bo mieli chyba ze trzy wózki, a na taki wózek kilka skrzynek mleka wchodziło. My również przez pewien czas zamawialiśmy mleko do domu i co ciekawe, to mleko nigdy spod drzwi nie ginęło!

PODWÓRKO

Podwórko było równie szare i zaniedbane jak i blok. No, może nie tak całkiem szare, bo kilka drzew i trochę trawy tam rosło. Przede wszystkim dwa kasztany, na wprost moich okien, prawie na zakręcie wąskiej, wewnętrznej uliczki, w tym jeden tak rozłożysty, że w lecie miało się wrażenie, że jego konary niemal wchodzi do okien. To pod nim stacjonowały przez pewien czas wózki mleczarza. Z prawej strony był plac zabaw, choć trudno by to było dzisiaj tak określić. Prostokąt o wymiarach jakieś dziesięć na dziesięć metrów. Wybrukowany płytami chodnikowymi. W lewym, górnym rogu piaskownica z murkiem z cegieł pośrodku. Na tym murku można było klepać babki z piasku, jeździć samochodzikami. Sam piasek nie był zbyt często zmieniany i niekiedy można było znaleźć w nim „niespodzianki” w postaci psich bobków. Zewnętrzne obmurowanie piaskownicy było pierwotnie zwieńczone na wierzchu takimi drewnianymi listwami, na których mamy mogły usiąść by przypilnować swoje dzieci. Ale te listwy nigdy nie miały długiego żywota. Wandale notorycznie je łamali i dewastowali. Z pewnością pomagał im w tym brak jakiegokolwiek oświetlenia, co w dzisiejszych czasach wydaje się anachronizmem, ale tak było. Gdyby nie blask z okolicznych okien i rachityczne, deficytowe żarówki nad wejściami do klatek, to można by było powybijać sobie zęby na tych dziurawych, połamanych płytkach. Jak któregoś wieczoru, już po zmroku, chcieliśmy zagrać w piłkę, to jeden kolega, Artur Żyradzki, wywiesił z okna pierwszego piętra taką żarówkę 500W. Ale wtedy było jasno...

Bo na tym placu wokół piaskownicy graliśmy często w piłkę. Stało tam w sumie pięć ławek; trzy przy dłuższym boku, wzdłuż ulicy i dwie bliżej trzepaków. Notabene ławki również ulegały systematycznej dewastacji, mimo iż poprzeczki były solidnie umocowane śrubami do betonowych podpór. Można było grać maksymalnie w pięciu, ławki służyły za bramki, a cały widz polegał na tym, żeby wbić przeciw-

nikowi pięć goli, wtedy delikwent odpadał z gry, a zwyciężał ten, który miał na koncie najmniej straconych bramek. Niestety, gdy na horyzoncie pojawiały się mamusie ze swoimi pociechami, to gra stawała się niemożliwa, bo złośliwa piłka często-gęsto wpadała do piaskownicy i waliła po babkach z piasku, a niekiedy i po łepetynach maluchów. Oj, jaki się wtedy wrzask podnosił... Wrzask podnosił się również, gdy piłka wyleciała poza murek, czyli boisko i uderzyła w parkujące tuż przy murku samochody. W tamtych czasach nie były to, rzecz jasna, wypasione fury, a jedynie maluchy, duże fiaty, syrenki, trabanty. Ale jeden sąsiad, nazywał się Wiatr, zawsze jeździł jakimś zachodnimi brykami i często je zmieniał. Miał widocznie kasę, skoro było go na to stać i to on podnosił największy raban, gdy piłka niechcący puknęła w dach jego wozu. Jednak na niewiele zdały się jego krzyki, bo w piłkę graliśmy nadal.

Dziewczyny lubiły grać tam w gumę albo w klasy. Chociaż w klasy to najchętniej graliśmy na jezdni, gdyż był tam asfalt, a na asfalcie kredą lepiej się rysuje. Do gry w klasy potrzebne też było pudełeczko po paście do butów wypełnione piaskiem, które kopało się z klasy do klasy. Na asfalcie graliśmy też w wyścig pokoju. Rysowało się różne wymyślne trasy, a za kolarzy służyły kapsle lub guziki.

Tuż za murkiem był kawałek zieleni z dwoma dużymi trzepakami. Rzecz jasna, służyły do trzepania dywanów, ale przez całe lato, przy ładnej pogodzie, gospodynie rozciągały pomiędzy nimi sznurki i wieszały na nich pranie, bo coś takiego jak suszarnia w bloku nie funkcjonowało. Jeżeli nie było akurat prania albo mocno nam nie przeszkadzało, to tam też grywalismy niekiedy w gałę. Na skraju trawnika, tuż przy ulicy, rosło duże drzewo, pod którym było niewielkie klepisko, w sam raz do gry w noża albo w „wywołuję wojnę naprzeciwko piwko...”.

Inną formą rozrywki była zabawa w chowanego. Zwykle chowaliśmy się wykorzystując murki, drzewa, samochody czy klatki. Niekiedy do zabawy wykorzystywaliśmy też piwnice. Wówczas niby zwykła zabawa, właśnie dzięki tym piwnicom, potrafiła dostarczyć sporo emocji. Przede wszystkim było tam ciemno. No, w piwnicy zwykle bywa ciemno, ale w tych piwnicach w zasadzie nie było okien. Znajdowały się tylko po jednej stronie korytarza, na dodatek umiejscowione w prywatnych komórkach, a nie na korytarzu. Ale już piwnica w mojej klatce w ogóle nie posiadała naturalnego oświetlenia. Nie było tu ani jednego okna. Panowały wręcz egipskie ciemności. Dodatkowym utrapieniem były żarówki, a raczej ich ciągły brak. Często ginęły albo nie było komu wymienić przepalonych, dlatego też wybierając się do piwnicy po ziemniaki, zawsze trzeba było mieć ze sobą latarkę. Przydawała się, bo poszczególne komórki w tamtych czasach nie posiadały osobnego oświetlenia i przy rachitycznym blasku 40 watowej żarówki, zainstalowanej na korytarzu, niewiele można było dojrzeć (aż w końcu ojciec podciągnął domorosłym sposobem kawałek kabla do naszej komórki i dzięki temu mieliśmy jasno jak w niebie). Piwnice nie posiadały dobrej wentylacji, dlatego też panowała w nich duża wilgoć, a niekiedy w naszej wnęce na posadzce stała woda. Szczególnie działało się to w okresie zimowym, podobno dlatego, że akurat nad tymi piwnicami znajdowały się sklepy: mrożonki i mleczarnia i w zimie, gdy klienci nanieśli błota do sklepów, to ta stojąca breja przenikała dziwnym trafem na dół. Dlatego też trzymanie ziemniaków w piwnicy było nie lada wyzwaniem. Kapiąca z sufitu woda oraz brak wentylacji nie miały pozytywnego wpływu na trwałość warzyw, dlatego też ojciec zamontował w naszej komórce taki daszek nad skrzynią z kartoflami. Była to zwykła, gruba folia rozpięta na ramie z listewek dzięki której woda nie skapywała bezpośrednio do skrzyni. Ale ziemniaki, pod koniec zimy i tak gniły albo puszczały na potęgę łodygi i trochę się ich marnowało. W ogóle trzymanie czegokolwiek w piwnicy przez dłuższy czas to był niezły hardcor. Rzeczy przesiąkały pleśnią, na niektórych pojawiał się nalot zwany potocznie grzybem.

Piwnice biegły pod całym blokiem i miały formę długiego korytarza, z wnękami, gdzie mieściły się posz-

czególne komórki. Wyjątkiem była nasza klatka. Może dlatego, że pierwsza klatka bloku była jakby nieco wysunięta w przód w stosunku do pozostałej części? Faktem jest, że przejście z naszej piwnicy do pozostałych, wymagało pokonania takiego załomu korytarza, oddzielonego od pozostałej części stalowymi drzwiami. Drzwi na szczęście były otwarte, ale panujące egipskie ciemności stanowiły nie lada wyzwanie dla takich maluchów jak my. Rzadko bawiliśmy się w piwnicach, bo do tego trzeba było większej ekipy. No a niektórzy lokatorzy przeganiali nas, rzecz jasna.

Skąd wzięły się w piwnicy takie metalowe wrota? Blok zbudowano na początku lat 50-tych ubiegłego stulecia. Jakie były wówczas czasy, wiadomo ogólnie z historii. Być może piwnice miały służyć za schron przeciwatomowy? Na sąsiednim podwórku stał taki betonowy szyb wentylacyjny. Nigdy nie zgłębiałimy się w jego przeznaczenie, ale z pewnością miało to związek z panującą w ówczesnych latach psychozą zimnej wojny.

MIESZKAŃCY

Mimo, iż blok liczył około 50 mieszkań, to można powiedzieć, że większość znała się doskonale i to nie tylko z widzenia. Cóż, w latach pięćdziesiątych, gdy przydzielano lokale, stosunki sąsiedzkie kształtowały się zgoła inaczej niż w dzisiejszych czasach. Ludzie bardziej integrowali się ze sobą, odwiedzali wzajemnie, choćby na takie sąsiedzkie plotki. Praktycznie wszyscy znali się z imienia i nazwiska. Na przykład moja babcia przyjaźniła się z panią Heleną Wójtowiczową spod „12”. Właściwie nie było dnia, żeby się nie odwiedzały. Obie starsze panie nie pracowały, zajmowały się domem, gotowały obiady, chodziły na zakupy i miały też czas na pogaduchy. Ponieważ jako małe dziecko pozostawałem pod opieką babci, siłą rzeczy również uczestniczyłem w tych wizytach. Często grałem w karty z panem Alojzym Wójtowiczem. Jako że byłem mały szkrab, to graliśmy w wojnę. Pan Alojzy trochę oszukiwał, ja złościłem się, bo przegrywałem, wtedy on dawał mi wygrać i tak to się toczyło. Wójtowiczowie mieli dwie córki, Krystynę i Zofię, starsze ode mnie o dobre 10 lat. Była to jedna z tych porządných rodzin w naszej klatce, tak jak inżynier Bellert spod „6”, Tebinowie spod „7”, Gugowie spod „11” czy Kreftowie spod „13”.

Tak jak wszędzie, tak i u nas trafił się tzw. element społeczny. Pod „1” mieszkali Brodowie. Nie pamiętam, czy ich syn Kaziu był jedynakiem, czy nie, ale pracą to Kaziu raczej się nie skalał. Być może pracował gdzieś krótko, ale zapamiętałem go raczej jako ciągle napitego lumpa o ksywce Gemba - tak go wołali koledzy od flaszki. Generalnie był spokojny, choć niekiedy było słyszeć, jak się awanturuje albo bije matkę (mieszkali pod nami).

O wiele więcej atrakcji dostarczali mieszkający vis a vis nas, pod „8”, Materniowie (nie mylić z Maternami-roznośicielami mleka; nie byli rodziną). To była dopiero patologia. Mietek Maternia był sparaliżowany od pasa w dół. Z tego, co pamiętam, to choroby nabawił się pracując na WSK w warunkach szkodliwych. Jednak mimo tego paraliżu potrafił przemieszczać się samodzielnie suwając nogami i podpierając się laską, a nawet wejść i zejść z drugiego piętra. Pamiętam, że codziennie wychodził na podest i trzymając się poręczy ćwiczył przysiady. W jakiś sposób poprawiało to jego kondycję i pozwalało na utrzymywanie tej namiastki samodzielności. Miał taki balkonik na kółkach, którym poruszał się po podwórku. To znaczy siedł na planty i tam, siedząc przez pół dnia na ławce, handlował wódką na kieliszki. Nie wiem, skąd brał alkohol, wiem tylko, że miał zawsze stałą klientelę, tzw. sine nosy. Sam też lubił so-

bie pociągnąć i często go to gubiło, bo gdy był pod wpływem, to trudno mu było wejść samemu na górę. Często korzystał wtedy z pomocy sąsiadów, sam wielokrotnie pomagałem mu wejść na górę i jeszcze wnieść torbę z kieliszkami i butelkami. A bywało i tak, że nogi mu się rozjechały i wyłożył się na schodach, niekiedy waląc głową o stopień. Wtedy albo wołał pomocy, albo jego żona Józefa, przylatywała do mojego ojca, żeby jej pomógł dźwignąć Mietka. Niekiedy bywało, że przewrócił się we własnym mieszkaniu, bo zbyt długo siedział w bezruchu na krześle w kuchni. Ale do swojego kalectwa podchodził z humorem i może dlatego, mimo domowych awantur, był ogólnie lubiany przez sąsiadów.

Jego żona również była nie do końca sprawna i powłóczyła jedną nogą, a na dodatek jąkała się trochę. Dzieci mieli chyba czworo i wszyscy gnieździł się w jednopokojowym mieszkaniu. W miarę dorastania dzieci wybywały z domu i ostatecznie została tylko najmłodsza córka, Beata. O ile pozostała trójka wyszła jakoś na ludzi, to nie można było tego powiedzieć o Beacie. Nie uczyła się, powtarzała klasę i zadawała się z nieodpowiednim elementem. Na skutki takiego postępowania nie trzeba było długo czekać. Zaszła w ciążę z jakimś Waldusiem. No, a Walduś to był niezły artysta. Materniowa początkowo próbowała go przegonić i zakończyć ten związek, ale on tak łatwo nie odpuszczał. Potrafił przyjść w nocy, walić z rozpędu w drzwi, awanturować się, że aż strach było wyjść na klatkę. Dobrze, że to były takie prawdziwe drzwi, bo te obecne ze sklejki puściłyby od pierwszego kopa. Oczywiście milicje miał daleko i głęboko gdzieś. Nie pamiętam, czy mieli jakiś ślub, w każdym bądź razie dzieci mieli troje. A skończył tragicznie, bo z opowieści sąsiadów wiem, że Beata zabiła go przy którejś z awantur.

Przełęczcy przeprowadzili się z Przemyśla i zamieszkali nad nami, pod „10”. Mieli dwie córki, z których jedna uczyła się gry na pianinie. Rzecz jasna próby odbywały się zazwyczaj wieczorami, najlepiej po 20:00, a bywało, że i później. Przełęcki został nazwany Tłuczkiem, bo bez przerwy coś w tym mieszkaniu robił. Walił ciągle młotkiem tak jakby przebudowywał całe mieszkanie. Oczywiście najchętniej pracował późnym wieczorem, gdy inni chcieli już odpoczywać. Walenie w sufit i rury od kaloryfera nie na wiele pomagało. Na dodatek był gburowaty i jak szedł po schodach to zawsze miał spuszczoną głowę i chyba nie odpowiadał na „dzień dobry”. Jego żona była bardziej komunikatywna. Umarł dość szybko, a tym samym tłuczenie ustało. Córka też artystką nie została. Należy też nadmienić, że jedna z córek wyszła za męża za syna Tebina spod „7”.

Ponieważ na pierwszym piętrze mieściła się kiedyś administracja, dlatego też lokale miały nieco inny układ oraz numerację. Pod „2” mieszkali najpierw Kurlitowie, ale później wprowadził się ktoś inny. Niestety, nie pamiętam nazwiska. Pod „2b” mieszkali Hapkowie, pod „3” Sołtysowie. Lokale „2a”, „4”, „9” i „14” były to kawalerki. Pani Szczepanikowa mieszkała pod „4” od zawsze, natomiast pozostałe mieszkania miały różnych lokatorów, których nie bardzo dziś pamiętam.

DOM KULTURY – DK WSK

Dom kultury doskonale było widać z naszego okna. Dzięki asymetryczności, ta część bloku, która od podwórza była cofnięta, od frontu wystawała nieco przed szereg i dzięki temu byliśmy nieco bliżej kultury niż pozostałe klatki. Wychylając się z okna można było zobaczyć nasz blok w całej okazałości, łącznie z Delikatesami i kawałkiem parku za domem kultury.

Sam budynek domu kultury prezentował się bardzo okazale, choć w paru miejscach ząb czasu od-

cisnął na nim swój ślad. Chociażby pokruszone stopnie schodów prowadzących do wejścia albo poobtłukiwane duże, kamienne donice na kwiaty czy też wyłamane betonowe tralki z ozdobnego obmurowania. Charakterystycznym elementem był duży neon „Dom Kultury WSK”, który rzadko wprawdzie, bo zwykle był nieczynny, ale jak już się zaświecił, to jego piękny, zielony blask bił po okolicznych oknach. Aż nie trzeba było światła w nocy zapalać w pokoju.

Stojąc przodem do wejścia, po prawej stronie, odkąd pamiętam czyli od zawsze, stał kiosk RUCH, w którym zwykle we wtorki i czwartki, idąc do szkoły, kupowałem „Świat Młodych”, a w soboty biegłem specjalnie do kiosku, żeby nie przegapić kolejnego odcinka komiksu. W miarę dorastania do „Świata Młodych” dołączyła inna prasa, można ją nazwać kolorową, chociaż była drukowana na marnej jakości papierze. Ale w tamtych czasach plakaty z ulubionymi muzykami czy zespołami drukowane w „Gromada- Rolnik Polski”, „Na przełaj”, „Razem”, „Zarzewie”, „Dziennik Ludowy”, „Nowa Wieś” były szczytem marzeń każdego nastolatka. Rozchodziły się jak świeże bułki. Jak ktoś nie kupił z samego rana, to po południu mógł nawet wszystkie kioski w mieście odwiedzić- bezskutecznie. Na szczęście nie musiałem co sobota zrywać się rano do kiosku, bo ojciec chodził zwykle po chleb i przy okazji kupował też gazety.

Po lewej stronie nie było nic. Dopiero po 89 roku, gdy powstał wolny handel, pojawiły się w tym miejscu budki z warzywami i o ile pamiętam, z kosmetykami. Z tym, że najpierw były to chyba zwykłe szczęki, a dopiero potem zamieniono je na kioski. Zresztą z tyłu DK też namnożyło się budek z warzywami. Rzecz jasna, oprócz warzyw sprzedawano tam również kawę, czekoladę, napoje. W tamtych czasach nikt się nad tym nie zastanawiał, ale patrząc z perspektywy, to te wszystkie budki okropnie szpeciły otoczenie domu kultury.

Dom Kultury od ulicy Dąbrowskiego oddzielał spory plac z centralnie umieszczoną fontanną, przecięty jednokierunkową ulicą prowadzącą dookoła tegoż placyku, z niewielkimi parkingami umiejscowionymi pod frontonami bloków. Parkingi służyły głównie klientom pobliskich sklepów oraz odwiedzającym Dom Kultury. Mieszkańcy parkowali swoje pojazdy od podwórza, ponieważ tam było wyjście z klatek schodowych. Nikt o zdrowych zmysłach nie biegałby dookoła bloku do samochodu. Przez pewien okres, na początku lat 70-tych, uliczka pełniła również funkcję pętli autobusowej dla linii „9”, „10” oraz „29”. Kursujące wówczas sany, a później również autosany, nie miały większych problemów z manewrowaniem, chociaż zdarzało się, że przeciskały się na milimetry pomiędzy zaparkowanymi samochodami. Potem częściowo pozmieniało trasy autobusów, a gdy do eksploatacji wprowadzono berliety, pętlę przeniesiono na dzisiejsze skrzyżowanie Dąbrowskiego/Podkarpacka/ Powstańców Warszawy/Batalionów Chłopskich z tym, że ta ostatnia ulica była dopiero w powijkach i było tylko kilka metrów wylotu, a dalej ciągnął się ugor. I na tych kilku metrach zawracały „9” i „24”, bo „10” i „29” miały już zmienioną trasę.

Fontanna na placyku działała bardzo krótko, tak krótko, że w zasadzie nie pamiętam tego faktu. Jedynie pusta niecka z jakąś dziwną rzeźbą pośrodku utkwiała mi w pamięci. Płytki chodnikowe, którymi wyłożony był teren pamiętały chyba jeszcze Bieruta. Dwa krótkie murki z betonowymi tralkami, identyczne jak te okalające budynek domu kultury, ustawione prostopadłe do ulicy, zwieńczone były na każdym końcu latarnią. I tu, podobnie jak w przypadku fontanny, mam mgliste wrażenie, że przez pewien czas świeciły, ale raczej niezbyt długo. Całe to otoczenie uległo z biegiem czasu powolnej dewastacji. Swoje zrobił czas, ale betonowe tralki w murku to wyłamali chuligani, a nie że nadgryzł je ząb czasu. WSK firma niby bogata, ale jakoś nikt nie pomyślał, żeby zagospodarować teren bądź co bądź reprezentacyjny, bo leżący tuż przy jednej z głównych ulic miasta.

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o osobie, która na stałe wpisała się w ten pejzaż. Mowa tu o sprzedawcy wody sodowej z saturatora. Naprawdę nazywał się Stochła, ale mój ojciec ochrzcił go „panem Mieciem”, bo był trochę podobny do aktora Henryka Hunko, grającego w serialu „Gruby” rolę konserwatora Miecia. Pamiętam, że miał taką brodawkę koło nosa, a wieść gminna niesie, że ciągle był „na bani”. Ale po jego „gruźliczankę” w upalne dni zawsze ustawiała się kolejka. Swoją wózek parkował zawsze na rogu, przy wyjeździe, bliżej bloku nr 85. Butle z gazem, przypięte łańcuchem do murku, zostawiały na noc, a gdzie trzymał wózek- tego nie wiem. Dla ścisłości trzeba dodać, że drugi punkt z wodą sodową znajdował się przy wejściu do baru Mikrus. Był to automat na monety, ze szklanką na łańcuszku. Jak nie było pana Miecia, to szło się do automatu, ale tam porcja soku była ściśle odmierzona, a pan Miecio kręcił kranikiem tak na oko. No i ten nieustanny rój pszczoł krążący wokół wózka i spijający słodki soczek...

Po transformacji wygląd placzyku właściwie się nie zmienił. Zniknął jedynie pan Miecio, a przybyło kilka ciężarówek zaparkowanych pod blokiem, które udawały sklepy i oferowały wszelakie dobra spożywcze pochodzenia zagranicznego. Na szczęście handel szybko ewoluował i te koszmarki wkrótce poznikały.

HANDEL I USŁUGI

Wszystkie punkty handlowe i usługowe zlokalizowane były na parterach budynków mieszkalnych. Pawilony nie były wówczas jeszcze takie modne. Takie rozwiązanie miało swoje wady i zalety. Największą uciążliwością były dostawy towaru. Jeżeli był to sklep, a nawet kilka, branży spożywczej, to od świtu do późnego popołudnia można było spodziewać się samochodów dostawczych. Szczególnie w lecie było to uciążliwe, bo przy otwartym oknie wszystko było słychać. Ale dzięki tym sklepom blok sprawiał wrażenie żywego. Pod oknami przewijało się dużo ludzi, widać było, że to miejsce pulsuje swoim rytmem, wyznaczanym godzinami otwarcia sklepów.

Oprócz „mleczarni”, mrozonek i delikatesów, na samym końcu, a zasadzie już w takiej bramie, którą przechodziło się na planty, mieścił się zakład naprawy taksometrów. Nie wiem, czy był to jedyny tego typu punkt w mieście, ale przechodząc pod oknami zawsze można było zobaczyć pełno taksometrów czekających na naprawę.

Blok naprzeciwko miał bez wątpienia o wiele spokojniejsze sąsiedztwo. Trzon handlu opierał się na sklepie wielobranżowym nazwanym „Gigant”. Można tam było kupić firany, zasłony, materiały, pa-smanterię, ubrania, buty jak również garnitury i okrycia wierzchnie. Obok znajdował się sklep papier-niczo-zabawkarski, a na rogu bar „Mikrus”, z tego co pamiętam to cocktail-bar. Na pewno były tam schowane za ladą chłodniczą desery z galaretką i bitą śmietaną. I chyba lody gałkowe, bo w lecie biega-łem czasem z termosem po te lody.

Prostopadle do naszego bloku ulokował się sanepid. Budynek sanepidu różnił się od pozostałych. Do drugiego piętra miał inne okna, inną elewację, a trzecie piętro było jakby nadbudowane, ale już w sty-lu nawiązującym do pozostałych budynków. Wejście znajdowało się od ulicy, tuż przy przystanku MPK, ale interesanci zajeżdżali zawsze od podwórza, bo tylko tu można było zaparkować. W następnym bloku, numer 77, była poczta i pralnia z magłem. Wchodziło się wspólnym wejściem do takiego przedsionka, przegrodzonego do połowy. Na lewo było wejście do pralni, a na prawo do urzędu pocztowego Rzeszów

3. Z pralni zawsze waliło gorącą parą, niezależnie od pory roku. Na ścianie działowej, przy wejściu na pocztę wisiał automat telefoniczny, zawsze oblegany, niekiedy popsuty. Drugi aparat znajdował się w środku placówki. Były tam takie cztery boksy do rozmów międzymiastowych, ale w ostatnim wisiał zwykły automat do rozmów miejscowych. Z czasem te aparaty wymieniono i wraz z postępem techniki, mając odpowiednią ilość żetonów, można było dodzwonić się z nich również do innego miasta.

Po drugiej stronie ulicy też było kilka sklepów i nie tylko. W bloku naprzeciwko przystanku na pewno był mięsny i chyba chemiczny oraz zakład zegarmistrzowski. Natomiast w budynku stojącym prostopadłe do ulicy mieściła się księgarnia, sklep spożywczy i biblioteka WSK. Szeroki trawnik oddzielał znajdujący się po przeciwnej stronie sklep papierniczy i restaurację Arkadia, którą z czasem zlikwidowano, a w jej miejsce utworzono jakąś uczelnianą bibliotekę. Dwa razy w tygodniu papierniczy przeżywał oblężenie, a to za sprawą dostaw papieru toaletowego. Obok, w bloku równoległym do ulicy mieściła się jedyna w okolicy apteka, sklep spożywczo-warzywny, z czasem przerobiony na stricte warzywny oraz zakład fryzjerski damsko-męski.

W aptece trzeba było stać dwa razy w kolejce. Najpierw pani magister sprawdzała receptę, potem trzeba było podejść do kasy. Kasjerka obliczała należność, a paragon naklejała klejem guma arabska z tyłu recepty. Z tak przygotowaną receptą trzeba było ustawić się do tego samego okienka, tylko z drugiej strony, po odbiór leków.

Domknięciem tego kwartału był blok umiejscowiony faktycznie przy Bohaterów Westerplatte, ale adresowo przypisany do Dąbrowskiego. Cały jego parter zajmowała przychodnia lekarska.

Nie należy zapominać o trzech kioskach „Ruch”: przy Domu Kultury, koło sklepu mięsnego i na rogu Dąbrowskiego i Bohaterów Westerplatte, obok niewielkiej kwiaciarni. Za tym trzecim kioskiem był jeszcze przystanek MPK dla autobusów jadących w kierunku Podkarpackiej. Natomiast autobusy skręcające w Powstańców Warszawy i Bohaterów Westerplatte zatrzymywały się na przystanku przed blokiem z apteką. Wzdłuż tego bloku umiejscowiony był jeszcze postój taxi, a obok przystanku stała budka telefoniczna z często urwanymi drzwiami.

Prywatne piekarnie istniały w tamtych czasach, ale było ich niewiele i nie miały tak rozbudowanej sieci dystrybucji swoich wyrobów. Przeważnie aby kupić lepsze jakościowo pieczywo trzeba było iść do piekarni i to najlepiej rano, jak tylko otwierali, bo potem chleba już nie było. Ojciec chodził do piekarni Warzechy, która mieściła się na Dąbrowskiego, kilkadziesiąt metrów za skrzyżowaniem z Powstańców Warszawy. Otwarta była chyba od 5:30. Na tygodniu chleb kupowało się zwykle w mleczarni albo delikatesach, ale już przy sobocie jadało się ten lepszy. Czasem, w trakcie tygodnia, ojciec wybierał się rano do piekarni, ale musiał się śpieszyć, bo na 7:00 szedł do pracy na WSK, a zawsze chodził pieszo do pracy, ale wracał autobusem. Jeździł na gapę, bo przez tyle lat nie zdarzyło się, by na odcinku pomiędzy Techniczną, a Dąbrowskiego pojawiła się kontrola; autobusy odjeżdżające tuż po 15:00 były nabite do granic możliwości.

Największe kolejki po chleb panowały przed świętami, trzeba było odstać nawet dwie, trzy godziny. Z czasem jakość pieczywa w piekarni pogorszyła się. Podobno powodem była śmierć Warzechy i przejęcie interesu przez jego syna co przyczyniło się do tego, że ojciec przestał kupować jego wyroby. Potem dorwczowo w pieczywo zaopatrywaliśmy się w prywatnej piekarni na Naruszewicza, naprzeciwko bursy Zespołu Szkół Gospodarczych albo w piekarni PSS na Reymonta. Bo okazało się, że nie wszystkie państwowe piekarnie produkują sieczkę. Chleb z Reymonta był bardzo dobrej jakości, tyle że nie do każdego sklepu był dowożony. Rzecz jasna w soboty albo przed świętami trzeba było odstać swoje w kolejce, bo

większość wypieku wysyłali do sklepów , a tylko część sprzedawali na miejscu.

Jeśli o kolejkach mowa, to nie można tu pominąć najpierw kolejek po cukier, kiedy to zaczynały się przejściowe trudności w zaopatrzeniu, a potem kolejek po mięso, żeby wykupić przydziałowe kartki. Towar deficytowy rzucali rano gdzieś koło 8:00 (dla tych, co pracowali na drugą zmianę) oraz o 15:00 dla pracowników zmiany pierwszej. Z tym, że kolejka na 15:00, ustawiała się w sklepie już o 9:00. I trzeba było marnować czas tylko po to, by kupić jakiś ochłap albo dwa kilo cukru. Na szczęście w delikatesach były takie szerokie, niskie parapety, na których wygodnie się siedziało.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jelcz392, dodano 13.11.2017 09:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.